



W numerze:

3 Czy szkoła dojrzała do nowej rzeczywistości?

Cała pandemia mocno zaskoczyła polską oświatę. Chwilę po wielkiej reformie likwidującej gimnazja system edukacji poddany został wielkiej próbie - nagle wszyscy zamknęliśmy się w domach, a jedyną klasą była ta na Teamsach albo na Zoomie. Jak wynika z wypowiedzi rządzących, już niebawem, bo 17 maja wracamy do szkoły, zaczynając od tzw. systemu hybrydowego. Czy polski system edukacji dojrzał do współczesnego świata? Jak ma wyglądać stara-nowa szkolna rzeczywistość? Na czym, według ekspertów, powinniśmy skupić się po powrocie do szkoły?

4 Jak dojrzeć finansowo?

Dojrzewanie to przejmowanie odpowiedzialności za swoje sprawy. Jedną z takich nich, której sidła obejmują każdego z nas, są finanse osobiste. I chociaż stan naszych licealnych kont bankowych jest raczej skromny, to osiągnięcie mistrzostwa w tej sferze życia procentuje. Dosłownie i w przenośni. Poniższy tekst jest oparty na mojej pracy „Finanse osobiste okiem licealisty”, wyróżnionej w konkursie Akademii Leona Koźmińskiego „I Ty możesz zostać milionerem”. Będę dumny, jeśli dla kogoś z Was posłuży jako zachęta do kształcenia własnej finansowej dojrzałości.

7 Romanse z muzami

W przeciwieństwie do covidowych czasów, mieszkańcy przedwojennego Wrocławia mieli naprawdę dużo miejsc, w których mogli spędzać czas. Breslauerzy ze sfery wyższej nieodzownie lubowali się w teatrach i kinach – miejscach uchodzących za siedziby muz i sztuki „wyższej”. A ponieważ przedwojenny Wrocław był jednym z najbogatszych miast w Niemczech, trudno się dziwić, że sztukę dało się spotkać w wielu miejscach.

10 Dojrzeć do muzyki

“To jest prawdziwa muzyka, a nie te twoje Szpaki i Travisy. Do Zeppelinów trzeba dorosnąć” - na pewno niejedno z nas słyszało teksty tego typu, czy to od rodziców, czy od dziadków, czy czasem i od znajomych. Słuchacze nieco bardziej mainstreamowej muzyki ciągle są “edukowani”, jak to “ich” muzyka jest gorsza od tej “prawdziwej” - zazwyczaj pochodzącej od artystów albo sprzed co najmniej dwudziestu lat, albo zbijających po tysiąc wyświetleń pod każdym utworem. Jednak czy negowanie popularnej obecnie muzyki jest faktycznie wyznacznikiem muzycznej dojrzałości?

Czy szkoła dojrzała do nowej rzeczywistości?

Cała pandemia mocno zaskoczyła polską oświatę. Chwilę po wielkiej reformie likwidującej gimnazja system edukacji poddany został wielkiej próbie - nagle wszyscy zamknęliśmy się w domach, a jedyną klasą była ta na Teamsach albo na Zoomie. Jak wynika z wypowiedzi rządzących, już niebawem, bo 17 maja wracamy do szkoły, zaczynając od tzw. systemu hybrydowego. Czy polski system edukacji dojrzał do współczesnego świata? Jak ma wyglądać stara-nowa szkolna rzeczywistość? Na czym, według ekspertów, powinniśmy skupić się po powrocie do szkoły?

Lepiej przez internet?

Po niemal całym roku edukacji zdalnej przyszła pora na jej podsumowanie. Co udało się wypracować? Z całą pewnością nowe rozwiązania, często lepsze niż w normalnej formule szkoły. Odsyłanie zadań w wygodnej, elektronicznej formie, czy wykłady prowadzone przez nauczycieli (czyt. lekcje, na których nauczyciel jedynie opowiada o czymś) z powodzeniem mogłyby dalej pozostać w świecie zdalności. Zarówno wszelkie materiały powtórzeniowe, różnego rodzaju quizlety czy chociażby praca grupowa na jednym dokumencie w Wordzie niemal doskonale sprawdziły się podczas zdalnej nauki. Czemu by nie wprowadzić ich na stałe? Połączenie nowych rozwiązań z tymi już dobrze znanymi mogłoby zaowocować czymś naprawdę dobrym. Konsultacje z nauczycielem o dowolnej porze? Termin kółka nikomu nie odpowiada? Zrobmy je zdalnie, np. wieczorem, gdy wszyscy już są w domach.

Wyłapanie oszustwa

Ponad pół miliona osób podpisało w internecie petycję skierowaną do ministra edukacji. „Sprzeciwiamy się powrotowi w tym roku szkolnym do nauki stacjonarnej” - taka odezwa do ministra Czarnka spowodowana jest prawdopodobnie obawą uczniów przed falą sprawdzianów, które miałyby prawdopodobnie skontrolować, czy uczniowie solidnie pracowali przez długie miesiące zdalności. Zarówno z ministerstwa, jak i z wielu szkół płyną słowa otuchy. Jednak niektóre placówki nie mają w planach postępować wg zasady „take it easy”, a terminarze w dziennikach elektronicznych niektórych osób są już pozapełniane do końca maja. Czy naprawdę nauczyciele z niektórych szkół nie

wyciągnęli żadnych wniosków z edukacji zdalnej? Czy trzeba zawsze sprawdzianem? Nie można na przykład porozmawiać wspólnie zadań albo porozmawiać z uczniami na tematy dla nich mniej pewne? Wydawać by się mogło, że łącznie 12 miesięcy edukacji przez internet zmieni zupełnie podejście do nauki, jednak w niektórych przypadkach jest zupełnie inaczej...

Plan na czerwiec

Co w takim razie powinno robić się w szkołach, skoro nie testy? Zwyczajnie pobyć razem, pogadać (nie porozmawiać, a właśnie pogadać!) na co wskazują zarówno eksperci, jak i sami uczniowie czy nauczyciele. „Uczniowie wrócą do grup, których nie ma” - takimi słowami dr Iga Kazimierczyk podsumowuje powrót do szkoły. Prezes fundacji „Przestrzeń dla edukacji” zwraca uwagę, że uczniowie pierwszych klas, zarówno szkół podstawowych, jak i liceów czy techników nie zdążyli zawiązać między sobą żadnych relacji. Z kolei uczniowie z innych klas nie mieli możliwości swoich znajomości pogłębić.

Edukacja zdalna miała swoje blaski i cienie. Warto jednak zastanowić się, co po niej zostanie. Co można w jakiś sposób dołączyć do nowej-starej szkoły. Trzeba przemyśleć, jak przekuć wiele godzin z niedziałającymi mikrofonami i słabym internetem w coś, co w przyszłości zaprocentuje.

DANIEL WITKOWSKI – 2 A

*Opracowano na podstawie:
<https://tvn24.pl/premium/zamiast-nadrabiania-czym-naprawde-powinnismy-sie-zajac-gdy-wroci>*

Jak dojrzeć finansowo?

Dojrzewanie to przejmowanie odpowiedzialności za swoje sprawy. Jedną z takich nich, której sidła obejmują każdego z nas, są finanse osobiste. I chociaż stan naszych licealnych kont bankowych jest raczej skromny, to osiągnięcie mistrzostwa w tej sferze życia procentuje. Dosłownie i w przenośni. Poniższy tekst jest oparty na mojej pracy „Finanse osobiste okiem licealisty”, wyróżnionej w konkursie Akademii Leona Koźmińskiego „I Ty możesz zostać milionerem”. Będę dumny, jeśli dla kogoś z Was posłuży jako zachęta do kształcenia własnej finansowej dojrzałości.

Polski system edukacji przeklinam często, ale najbardziej sążnięcie, gdy zmusza mnie do otwarcia podręcznika do „historii i społeczeństwa”. Rozbiciu dzielnicowemu poświęcamy więcej czasu niż wszystkim tematom okołofinansowym razem wziętym. Program nauczania podobnie traktuje zresztą większość „życiowych” umiejętności – musimy się ich uczyć na własną rękę.

Czy tak musi być? Czy to pozostałość komunizmu? PRL-u? Pieniądze tematem tabu? Nie wiem. Wiem za to, jak kończy się taki stan rzeczy. Celujący Licealista szkołę kończy szybko i z wyróżnieniem. Pieniądze przepływają mu przez palce. Po jakimś czasie bierze pożyczkę na nowy samochód albo (o zgrozo!) plazmowy telewizor. Szybko odkrywa jednak, że znajomość imion potomstwa Mieszka Pierwszego nie wystarcza, żeby spłacać raty... Dalej jest już tylko gorzej.

Nie bądź jak Celujący Licealista. Rozbicie dzielnicowe poczeka (obym miał rację!). Twoja wiedza nie musi sprowadzać się do programu nauczania. Zarabiaj, oszczędzaj, inwestuj - oto, jak zrobić to sprytnie i skutecznie.

„Hajs się musi zgadzać!”

Jesteśmy w wieku, w którym inwestowanie jest ważniejsze niż zarabianie. Celem nie jest wakacyjne zarobienie stówki, stojąc za kasą w „Żabce”. To pieniądze, które wydasz równie szybko, jak je zarobiłeś. Jasne, punktualność, sprzedaż i obsługa klienta to cenne i wielobranżowe umiejętności, ale mogą nie zapewnić życia na poziomie aż do emerytury. Z

kolei celem większości ludzi w naszym wieku jest sensowna finansowa przyszłość na całe dalsze życie! Tym, co powinno cię teraz bardziej interesować, jest Twój Łączny Życiowy Dochód - suma pieniędzy, które będziesz w stanie zarobić aż do emerytury.

ŁŹD zależy tylko od Ciebie

Wbrew obiegowej opinii, już będąc licealistą masz wpływ na to, jak Twój ŁŹD będzie się kształtował. Nie będę jednak powtarzał utartych belferskich frazesów - to jak dobrze się uczysz i jaką wyciągasz średnią ocen na pewno nie należy do głównych czynników („Celujący Licealiści go nienawidzą”). Nie zmienia to faktu, że edukacja, rozwój, nauka są kluczowe - po prostu nie tylko w takiej formie, jaką znamy ze szkoły. Skup się na swoich mocnych stronach. Jeśli będziesz świetnym programistą, nikt nie będzie pytał o rozbicie dzielnicowe. A jeśli wspaniałym historykiem, matury z matematyki nie musisz zdawać na 100%.

Nie przesadzaj!

Unikajmy skrajności, podstawy wiedzy ogólnej zawsze warto mieć. Nie zrozumcie mnie źle - nie krytykuję szkoły. Po prostu wybierz mądrze obszar, na którym chcesz się skupić. Przeanalizuj uczelnie i kierunki studiów, dobierz maturalne rozszerzenia na bazie takiej właśnie konkretnej analizy. I nie przesadza z ich liczbą! Ja rozszerzam matematykę, fizykę, informatykę i angielski i to jest maksimum - liczba rozszerzeń większa niż 4 automatycznie zmiecie Cię z planszy.

Chcę zachęcić do racjonalnego i pragmatycznego doboru obszarów edukacji i zainteresowań. Ale kiedy już to zrobisz, pracuj ciężko i wytrwale. Nauka samodzielnie określonych zagadnień przychodzi znacznie łatwiej niż tych odgórnie i bezmyślnie narzuconych. Jeśli przeraża i przytłacza cię wizja wyboru wśród tak szerokiej gamy umiejętności, rozważ pomoc doradcy zawodowego. Ankiety i quizy predyspozycji nie podejmą drogi za Ciebie, ale zawsze to jakaś wskazówka. Ostatecznie swoją drogę zawsze będziesz mógł zmienić.

30% is the new 100%

Zamiast zarywać noce, ucząc się na 100% z każdego przedmiotu, skupiaj się na zainteresowaniach, umiejętnościach i skoncentrowanej edukacji – porównaj, ile krótkoterminowo zarobisz roznosząc ulotki, a ile zarobisz przez całe życie teraz np. ucząc się programować albo szlifując umiejętności graficzne. Kto wie, może oprzesz na tym całą karierę? W liceum masz czas, sposobność i okazję zgłębić różne dziedziny. Oprócz oczywistych korzyści finansowych, racjonalny i świadomy wybór kariery da Ci spełnienie i s z c z ę ś c i e. A chyba właśnie o to w życiu chodzi!

Kręcisz głową?

To tylko połowiczna prawda - posiadanie pieniędzy w naszym wieku też jest fajne. Są potrzebne, są przydatne. Warto je mieć. A najlepsze jest to, że można zdobywać je, jednocześnie inwestując w siebie i maksymalizując ŁŻD. Za drzwiami czeka tuzin ludzi i organizacji, którzy są gotowi wciskać ci gotówkę do ręki, bylebyś tylko wykazał się nieprzeciętnymi cechami. Lokalne samorządy, szkoły, organizacja międzynarodowe, firmy prowadzące programy stypendialne jako CSR-owe akcje. W internecie funkcjonują nawet specjalne wyszukiwarki (np. mojestypendium.pl). Analogicznie sprawa wygląda z konkursami wiedzy z nagrodami pieniężnymi. Nie chodzi o to, żeby uczyć się dla pieniędzy – ale skoro rozwój swoich zainteresowań ma nam oszczędzić wakacyjnej pracy w Żabce, czemu nie?

Case study

Nieosiągalne? Moja wiedza o statystyce we wrześniu 2019 sprowadzała się do umiejętności wyliczenia średniej. Kilkadziesiąt godzin spędzonych z filmikami Hindusów z Khan Academy, dużo policzonych zadań i przede wszystkim celne strzelanie w pytania typu ABCD. Już w marcu 2020 zostałem finalistą Olimpiady Statystycznej. Podobnie było z Olimpiadą Przedsiębiorczości - skoncentrowana nauka sprawiła, że zdobyłem tytuł finalisty (okej, strzelanie też odegrało swoją rolę). Aplikowałem do każdego stypendium, jakie znalaz-

łem. Z dziesięciu przyznano mi osiem. Nie dość, że zarobiłem więcej niż kolega zza żabkowej kasy, rozwinąłem moją zdolność szybkiego i skutecznego uczenia się i dostałem gwarancję indeksu na wiele uczelni ekonomicznych, przyswoiłem piekielnie dużo niesamowitej wiedzy i ani trochę nie czuję, jakbym zmarnował choć trochę czasu. Fajna sprawa. To nie jest jakaś czarna magia. Naucz się zarządzać czasem, zarządzać zadaniami. Świadomie wybierz swoje zainteresowania, rzuć okiem na listę olimpiad organizowanych przez MEN, ciężko pracuj i osiągnij sukcesy. Żadne inne tajemne umiejętności nie są ci potrzebne - świat stoi otworem. Wystarczy robić w wolnym czasie coś więcej niż oglądanie seriali, aby znaleźć się w top 20% licealistów (ale spokojnie, wtedy nadal możesz je oglądać).

Oszczędzanie – naucz się budżetować

Zapisuj swoje wydatki korzystając z Excela albo dedykowanych narzędzi. Samo uświadamianie sobie ich skali dużo da, a dodatkowo możesz wyznaczać sobie miesięczne cele wydatków. To pozwoli Ci szybko rozwinąć własną świadomość finansową. Na pewno nie masz ich wiele, więc budżetowanie nie będzie wymagać od Ciebie poświęceń czasowych ani energetycznych. Możesz skorzystać też z różnych tricków, ale nic nie zastąpi używania własnej głowy.

Sprzedawaj niepotrzebne rzeczy

Wystawiaj na Vinted, Allegro, OLX - oprócz dodatkowych pieniędzy to lepsze rozwiązanie niż zapewnianie wysypisk śmieci. Bardziej etyczne. Dla odważnych: kupuj używane rzeczy (albo nowe z uszkodzonym pudełkiem np. w Amazon WHD).

Gotuj

Naucz się robić jedzenie, zdrowe jedzenie. To pozwoli zaoszczędzić kupę pieniędzy na fastfoodach po szkole, a twoich pysznych lunchów każdy będzie Ci zazdrościł (ryż z kurczakiem <3). Przy okazji naucz się robić zakupy, wybierać zdrowe i ekologiczne produkty, porównywać ceny. To procentuje!

Pedałuj

Jazda na rowerze to świetny wysiłek fizyczny, którego twoje ciało tak bardzo się domaga. Przy okazji w miastach jest to metoda transportu szybsza, tańsza i bardziej ekologiczna niż alternatywy. Generalnie ćwicz, trenuj, prowadź zdrowy styl życia. Wszystko będzie łatwiejsze.

Rachunki za telefon

Bardzo mnie boli, kiedy ktoś mówi mi, że płaci za telefon co miesiąc grube pieniądze, rzędu 39 zł. Przez lata to odkłada się do zawrotnych sum, co tyczy się to też innych stałych opłat, jak

prowinie w banku. Telefon kup osobno, a za tani pakiet internetu zapłacisz mniej niż 10 zł miesięcznie. Ja korzystam z 9GB miesięcznie za 8 zł w nju mobile (zasięg sieci Orange) i osobnego rozliczania za każdą minutę rozmowy albo SMS-a, bo przeważająco używam tylko internetu/komunikatorów.

Szukaj szczęścia zamiast wygody, luksusu i reklam

To trochę metafizyczne, ale w kupowaniu rzeczy nie znajdziesz szczęścia. Im szybciej sobie to uświadomisz, tym więcej pieniędzy zaoszczędzisz i zaczniesz szukać szczęścia tam, gdzie naprawdę jest.

Nie bądź dusigroszem

Szukaj równowagi pomiędzy wydawaniem a oszczędzaniem. iPhone XR albo nowe Nike Air Maxy mogą nie być najbardziej uzasadnionym wydatkiem. Ale nowy laptop, który wreszcie nie będzie się zacinać, już jest.

0,5% prowizji rocznie

Inwestowanie w siebie to jedna sprawa. Idealną sytuacją byłoby, jeśli po wszystkich wydatkach będą zostawać jakieś resztki i nadwyżki. Do inwestycji finansowych będziesz potrzebować pomocy rodziców - jeśli jesteś niepełnoletni, sam nie otworzysz jakiegokolwiek konta. Jestem fanem inwestowania indeksowego. Zamiast samemu wybierać portfel inwestycyjny albo płacić słone prowizje zarządzającym, kupujesz certyfikaty funduszu, który sam z siebie kupuje wszystkie akcje danego indeksu. Pasywne, bezobsługowe i prawie bezkosztowe, a to procentuje.

Konkret

Platformami, które polecam jest polskie inP-ZU (opłaty na poziomie 0,5% rocznie) albo zagraniczny broker Degiro (ja korzystam z bezprowizyjnych ETF-ów iShares IWDA i IEMA dla ekspozycji na cały świat) lub bardziej przyjazna dla użytkownika platforma Finax. Ale nie wpadnij w pułapkę! Nie łudź się, że zostaniesz milionerem, spekulując na akcjach. Jeśli bardzo chcesz, możesz przeznaczyć niewielką część pieniędzy na rozrywkowe inwestycje i traktować je jako stracone. Osobiście robię tak z akcjami Tesli i GameStopu, ale mowa tutaj o groszowych sprawach.

Finansowy kask

Sporą część swojego portfela musisz jednak trzymać w bezpieczniejszych aktywach. Stopy procentowe są na takim poziomie, że nie ma znaczenia co wybierzesz - lokaty, obligacje skarbowe, albo drugie bezpłatne konto w banku.

Twoja kolej

Myśl, planuj, mądrze inwestuj swój czas. Oszczędzaj pieniądze i inwestuj nadwyżki, nawet jeśli nie planujesz pobijać inflacji. Pracuj ciężko, wytrwale, ale skutecznie. Gdyby ktoś zapytał mnie jaką radę chciałbym dać wszystkim zbłąkanym licealistom ani chwili bym się nie zastanawiał. Znajdź sobie wartościowe zainteresowania, poświęcaj im swój czas, a cała reszta ułoży się sama. Idąc za Męskim Graniem, życzę sobie i wam, żeby nas było stać na święty spokój. Szczęścia, ile się da, miłości w bród, mądrych ludzi wokół. Powodzenia w zarabianiu pierwszego miliona!

MAKSYMILIAN SKICA – 2 C



Romanse z muzami

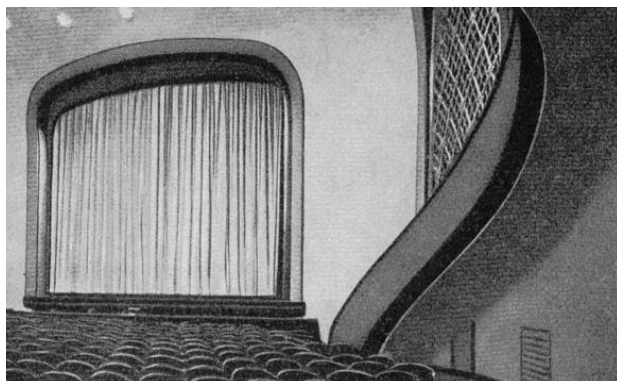
W przeciwieństwie do covidowych czasów, mieszkańcy przedwojennego Wrocławia mieli naprawdę dużo miejsc, w których mogli spędzać czas. Breslauerzy ze sfery wyższej nieodzwrotnie lubowali się w teatrach i kinach – miejscach uchodzących za siedziby muz i sztuki „wyższej”. A ponieważ przedwojenny Wrocław był jednym z najbogatszych miast w Niemczech, trudno się dziwić, że sztukę dało się spotkać w wielu miejscach.

Jak ogromne musiało być zdziwienie ludzi, którzy doświadczyli pierwszego seansu filmowego w Paryżu, w 1895 roku. Bracia August i Louis Lumière, mimo szczerych intencji, okrutnie zagrali na uczuciach widzów. Oglądanie filmu niemego „Wjazd pociągu na stację w La Ciotat” niejednego przyprawił o palpitacje serca, a wiele osób z wrzaskiem wybiegło z kina. W ten sposób niewinny dokument zamienił się w horror, a film jako nowa forma rozrywki rozpoczął swoją krzykliwą karierę.

Dziesiąta muza

Film wkrótce zawitał i do Breslau, miasta oddalonego o wiele kilometrów od Paryża. Wynalazek dotarł tu rok po pamiętnym seansie w stolicy Francji, a pokaz przeprowadzono oczywiście za pomocą sprzętu braci Lumière we Wrocławskim Domu Koncertowym. Wydarzenie odbyło się dzięki kolońskiej firmie kinematograficznej, mającej monopol na wyświetlanie filmów w całym cesarstwie, jednak na bujny rozwój dziesiątej muzy w Niemczech nie trzeba było długo czekać.

Kina stacjonarne (bo mobilnych było znacznie więcej) wyrastały w miastach jak grzyby po deszczu. Podczas gdy w 1905 roku w cesarstwie było ich raptem 40, w 1913 ich liczba wzrosła do 2 tysięcy, z czego w Breslau znajdowało się 23 studia. A i to wkrótce miało się zmienić.



Ogródki piwne... w kinach

Mówiąc o kinach z początku XX wieku trudno rozumieć to pojęcie w dzisiejszym znaczeniu, ponieważ ówczesne studia w ogóle nie przypominały tych, które znamy obecnie. Nazywano je „kintoppami” i można było w nich pić... piwo! Nikomu nie przeszkadzały też papierosy czy woń różnych dań. Tym, którzy są szczególnie wyczuleni na obecność popcornu w fotelach, trudno pewnie wyobrazić sobie taki stan rzeczy.

Ponieważ kina były raczej miejscem luźnym, gdzie nie trzeba było się stosować do etykiety tak bardzo rygorystycznie jak w teatrze czy w sali koncertowej, ich liczba w Breslau stale rosła. W 1907 roku Wrocław mógł poszczycić się raptem pięcioma kinami, jednak w 1942 roku było ich już trzydzieści siedem!

Najlepiej przy Kościuszki

Nie wszystkie kina były oczywiście duże i popularne, jednak te najbardziej renomowane znajdowały się w centrum miasta. Dziesiąta muza szczególnie upodobała sobie rejon przy dzisiejszych ulicach: Świdnickiej (Schweidnitzerstrasse), Piłsudskiego (Gartenstrasse) oraz przy placu Kościuszki (Tautenzienplatz). To właśnie w tym rejonie można było zawitać do największych, najczęściej uczęszczanych studiów: kin Scala, Ufa-Theater, Tautenzien-Theater oraz Palaster-Theater. Ostatnie dwa były najchętniej odwiedzane przez breslauerów, natomiast Scala szczyła się mianem najdłużej działającego wrocławskiego kina – funkcjonowało od roku 1909 do 1982. Ufa-Theater, Tautenzien-Theater i Palaster-Theater należały do wrocławskich gigantów – w 1926 roku w ich progi zawitało łącznie ponad milion widzów, co stanowiło jedną czwartą ludzi odwiedzających breslauerskie studia.

„Siedzę obok pana, siedzimy w Kinie Capitol”

Mówiąc o kinach w przedwojennym Wrocławiu, grzechem byłoby nie wspomnieć o kinoteatrze Capitol, którego historia sięga do 1929 roku. Jego nowoczesny gmach wzniesiono przy Gartenstrasse, odznaczającej się nachalną monotonią fasad czynszowych kamienic i ogródków. Modernistyczny budynek projektu Friedricha Lippa wzbudził na pewno wiele kontrowersji, jak i wiele zachwytów. Za dnia uwagę zwracała jego frontowa ściana wyłożona błyszczącymi płytkami, z kolei w nocy zachwycał czerwony neon, który do dziś widnieje w logu Capitolu. Wewnątrz budynek lśnił złotem, srebrem i miedzią, zachwycał geometrycznymi wzorami oraz charakterystycznymi lampami w sali widowiskowej, w której znajdowało się 1200 miejsc siedzących. Kino Capitol spotkało duże szczęście, ponieważ po wojnie muzy znów się w nim zadomowiły. Ba, świetnie się tam mają – bo kto nie kocha Capitolu? Zupełnie inaczej było z Kinem Deli – również modernistyczną budowlą, tym razem projektu Hansa Poelziga (tak, to ten od Pawilonu Czterech Kopuł). Ponoć jego wnętrza zachwycały minimalizmem oraz płynnie przechodzącymi liniami ścian i balkonu. Z kolei niewielkie lampy na suficie miały przypominać gwiazdziste niebo. Niestety, Kino Deli zburzono w 1945 roku, jednak ta historia ma w sobie pozytywny akcent. Dziś w tym samym miejscu stoją Arkady Wrocławskie i działa w nich OhKino.



Dzieci Melpomeny

Portale społecznościowe zdecydowanie zajmują tym razem trzeba się przenieść w nieco bardziej odległą przeszłość, a konkretniej do XVIII wieku. Wówczas dopiero rodził się teatr, jaki znamy obecnie. W Breslau nie istniały jednak stałe sceny, na których wystawiano widowiska – miasto

było odwiedzane przez objazdowe trupy aktorskie występujące w wynajmowanych salach. Wszystko zmieniło się, gdy włoska grupa artystów postanowiła zatrzymać się we Wrocławiu na stałe. W 1727 roku otrzymali oni miano teatru miejskiego, a w 1754 roku trupa wykupiła budynek składu potasu przy dzisiejszych ulicach Piotra Skargi i Oławskiej, gdzie założyła prywatny teatr pod nazwą Zur Kalten Asche. Złoty okres jego działalności przypadł na czasy kierownictwa madame Barbary Wäser, która, choć nie cieszyła się u breslauerów dobrą reputacją, miała smykałkę do interesów. Zawarła z miastem kilka korzystnych umów, m.in. tę zwalnającą ją na trzy lata z podatków. Wkrótce też nastąpiła przebudowa Zur Kalten Asche. Zadanie to powierzono Carlowi Gotthardowi Langhansowi, znanemu śląskiemu architektowi (późniejszemu autorowi projektu m.in. Bramy Brandenburskiej). Budynek teatru okazał się dość funkcjonalny – na szczególną uwagę zasługiwała dobrze przemyślana sala widowiskowa, mimo że w projekcie nie zmieściły się garderoba ani foyer, a klatki schodowe były ciasne. Zur Kalten Asche zyskało uznanie breslauerów, odwiedził je również sam Fryderyk Wielki, zwany pieśzcotliwie Starym Frycem. Co więcej, w 1795 roku teatr wyniesiono do rangi Teatru Królewskiego. Pierwszy wrocławski dom Melpomeny działał do 1841 roku i miał w swojej historii jeszcze wiele ciekawych epizodów. W teatrze jako kierownik muzyczny pracował Carl Maria von Weber, twórca niemieckiej opery romantycznej i to właśnie ten okres jest uznawany za czas szczytowego poziomu sztuk wystawianych w Zur Kalten Asche. Wrocławski Teatr Królewski był miejscem, gdzie krótko po ogólnoniemieckiej premierze można było obejrzeć najświeższe przedstawienia –



Langhans Junior

Lata mijały, Breslau się powiększało. Rostała liczba mieszkańców, również tych ze sfer wyższych. Nic dziwnego, że pomyślano o budowie kolejnego, bardziej monumentalnego gmachu, tym razem przy Schweidnitzerstrasse. Prace rozpoczęto dwa lata przed zamknięciem Zur Kalten Asche, a projekt powierzono Carlowi Ferdinandowi Langhansowi – synowi Carla Gottharda, architekta Teatru Królewskiego. Gmach nowego teatru miejskiego był utrzymany w stylu klasycystycznym, czyli ukochanej formie obu Langhansów i odznaczał się monumentalnością, jak na siedzibę muz w bogatym mieście przystało. Poza tym budynek wyróżniał się na tle innych niemieckich teatrów nowoczesną widownią, będącą w stanie pomieścić aż 1600 widzów! Wrażenie robił też bogate wnętrze, gdzie nie żałowano złota (i to dosłownie).

Śmietanka towarzyska niemieckich twórców

Niestety, historia nie oszczędziła murów Teatru Miejskiego. Strawiły go dwa pożary – jeden w 1865 roku, a drugi w 1871. Druga odbudowa pod nadzorem Karla Schmidta nadała siedzibie muz ostateczny kształt. Zmiany we frontowej fasadzie manifestowały bogactwo miasta i jego prestiż, np. sześciokolumnowy portyk sprawiał, że teatr przypominał raczej pałac. W kolumnadzie swoje miejsce znalazły popiersia czołowych twórców niemieckich: Mozarta, Schillera, Goethego i Beethovena, a w szczytowych partiach portyku ustawiono sylwetki muz. Z kolei w sali widowiskowej kosztem balkonów powiększono proscenium, a na suficie namalowano obraz przedstawiający Apolla.

Stwierdzenie o prestiżu Teatru Miejskiego w Breslau wcale nie jest przesadą. Dyrygowali tutaj czołowi światowi twórcy, m.in. Richard Strauss, Richard Wagner czy wspomniany wcześniej Carl Maria von Weber. Teatr Miejski wyszedł z wojny bez dużych strat – główną zmianą było ściągnięcie z fasad zniszczonych rzeźb muz oraz nieuszkodzonych popiersi artystów (to drugie ze względów politycznych). Dziś w tym samym budynku mieści się Opera Wrocławska, a pierwszy sezon artystyczny na ziemiach odzyskanych został otwarty premierą „Halki” Stanisława Moniuszki.

Broadway w Breslau?

Teatr Miejski czy Kalten Asche nie były rzeczą jasną jedynymi siedzibami sztuki w Breslau. Mieszkańcy przedwojennego Wrocławia uwielbiali romansować z muzami! Do teatrów czy kin udawało się znacznie więcej ludzi niż przed pandemią, głównie z powodu braku telewizji czy internetu. W centrum aż roilo się od instytucji kulturalnych. Można było zajrzeć do nowoczesnego Wrocławskiego Domu Koncertowego, który szczylił się wieloma salami, z czego największa (po ostatecznej, trzeciej przebudowie projektu Hansa Poelziga) była w stanie pomieścić ponad 1400 osób. Z halą koncertową sąsiedował Schauspielhaus (dzisiejszy Teatr Polski), wystawiający m.in. przez pięć dekad XIX wieku spektakl o Tadeuszu Kościuszcze. I chociaż wiele z przedwojennych teatrów i kin nie przetrwało II wojny światowej, wciąż możemy podziwiać te ocalałe – mimo że nie zawsze jesteśmy tego świadomi.

MAŁGORZATA WIECZORKIEWICZ – 2 A



Dojrzeć do muzyki

“To jest prawdziwa muzyka, a nie te twoje Szpaki i Travy. Do Zeppelinów trzeba dorosnąć” - na pewno niejedno z nas słyszało teksty tego typu, czy to od rodziców, czy od dziadków, czy czasem i od znajomych. Słuchacze nieco bardziej mainstreamowej muzyki ciągle są “edukowani”, jak to “ich” muzyka jest gorsza od tej “prawdziwej” - zazwyczaj pochodzącej od artystów albo sprzed co najmniej dwudziestu lat, albo zbijających po tysiąc wyświetleń pod każdym utworem. Jednak czy negowanie popularnej obecnie muzyki jest faktycznie wyznacznikiem muzycznej dojrzałości?

Może od razu odpowiem na to pytanie. Nie. Absolutnie nie. Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie – odwracanie się plecami z obrażoną miną od popu, trapu, dubstepu albo Metalliki tylko dlatego, że są popularne, jest raczej odwrotnością dojrzałości. I żeby było jasne – nie uważam wcale, że wszystko trzeba lubić. Jednak jest podstawowa różnica między lubieniem czegoś, a zaakceptowaniem i próbą docenienia czegoś. Bo to właśnie to drugie czyni z nas moim zdaniem dojrzałego słuchacza.

... i Społeczny przed wojną

Jest to jeden z najczęstszych argumentów na “odwal się” widzianych przeze mnie w internecie. No bo przecież oni się tylko drą. Albo bełkoczą bez sensu. Albo samym basem po uszach walą, a słów to w ogóle nie ma. Jednak dla mnie taki argument znaczy tylko tyle, że wykorzystująca go osoba nie wie, o czym mówi. Że nie potrafi dostrzec talentu w czymś, co wychodzi poza jej strefę komfortu. W metalu słyszy tylko “darcie mordy”. Nie daje wybrzmieć wirtuozerii wychodzącej spod palców gitarzystów, którzy technicznie przewyższają ich ukochanego Gilmoura albo Claptona o lata świetlne. Słyszy “nawalanie na perkusji”, jednak oczywiście sama nigdy za zestawem nie siedziała. Nie zrozumie więc, ile talentu potrzeba do zagrania np. “Angel of Death” Slayera - utworu, który szybko określiłaby mianem “tylko hałasu”. A wracając do “darcia mordy” - próbowaliście kiedyś tak metalowo “drzeć mordę” i nie zedrzeć sobie gardła na następne dwa dni? Bo jest to trudniejsze niż się wydaje. A metalowi wokaliści właśnie tak “drą mordę” kilka dni w tygodniu. Przez dwie godziny dziennie. Przez cały rok trwania trasy koncertowej.

Gadają o niczym – nie to co kiedyś

Ach tak - obrońcy starego dobrego rapu. Kiedyś to był Tupac i Biggie, kiedyś to rap mówił o realnych problemach realnego świata. A teraz... teraz to tylko Kendrick i Eminem, a reszta to ma w głowie tylko pieniądze, auta i kobiety. Teraz to tylko włączają tego altotjuna i rapują o niczym. Ile się takich rzeczy naczytałem, to głowa mała. No i jakby nie patrzeć, muszę tu trochę przyznać honor – ale tylko trochę. Sam do niedawna bardzo, ale to BARDZO nie znosiłem trapu. Uważałem go za skazę na historii muzyki i wolałbym, żeby nigdy nie istniał. Ale się czasy zmieniły, a trap stał się w ostatnim czasie jednym z moich ulubionych gatunków muzycznych. Co więcej, ten słynny “lepszy”, liryczny rap poszedł u mnie w odstawkę. Dlaczego? Zrozumiałem prosty fakt – muzyka nie musi być poważna, żeby być sztuką. Muzyka może być zabawą - powinna być. A raperzy tacy jak Travis Scott, Migosi, albo nawet ten przeorany ze wszystkich możliwych stron Lil Pump, z pewnością mają mnóstwo frajdy przy tworzeniu swojej muzyki. I nikt im tego nie odbierze. Poza tym, “obrońcy rapu” zapominają zawsze o jednej ważnej rzeczy – słowa to nie jedyne co składa się na hip hop. Są też flow i beaty. A nawet Lil Pump potrafi nieźle polecieć po jakimś ciężkim instrumentalu. Chcecie dowodu? Posłuchajcie sobie jego zwrotki w “Welcome to the Party”. Złoto. No, ale niestety - nie mówi o tym, jak mu się ciężko żyje na ulicach, bo to raczej u wielu osób i tak nie przejdzie.

Metalika skończyła się na “Killemall”!!!

Każdy z nas zna taką sytuację - artysta albo zespół zaczyna nagrywać muzykę. Zazwyczaj jest to coś raczej niszowego, coś, czego raczej w radiu nie usłyszymy. Nagrywają jedną płytę, drugą i nagle

stają się światowym fenomenem. No i co się wtedy dzieje? Nieco zmieniają styl. Dziwnym trafem okazuje się, że ten styl odpowiada większej liczbie osób, a artyści stają się jeszcze popularniejsi. No i się zaczyna. "Sprzedali się". "Skończyli się po pierwszej płycie". "Kiedyś to grali prawdziwą muzykę, teraz to pop dla nastolatków". Na każdy pozytywny komentarz pod postem o nich przypada jeden tego typu. Szablonowym przykładem jest oczywiście Metallica, która według jednych sprzedała się z wydaniem "Load/Reload", według innych na Czarnym Albumie, a według niektórych na "Ride the Lightning", gdy James Hetfield postanowił przestać krzyczeć do mikrofonu, a zacząć śpiewać (czyste dźwięki? Boże święty co to za komercja?). Innym, nieco bardziej współczesnym przykładem, jest Bring Me The Horizon - zespół, który przeszedł od typowego, raczej średniego (moim zdaniem) deathcore'u, przez wydanie być może najważniejszego albumu w historii metalcore'u: "Sempiternal" i coraz bardziej pędzące ku mainstreamowi brzmienie w "That's a Spirit", aż do zupełnie popowych brzmień w "amo". Można tylko sobie wyobrazić, co dzieje się w komentarzach, gdy ktoś OŚMIELI się chociaż napisać o nich newsa. Nagle okazuje się, że "nobody cares" i że kto w ogóle słucha tego boysbandu udającego zespół metalowy. BMTH „skończyli się, kiedy przestali grać deathcore”, mimo że ich najnowsza płyta, "Post Human: Survival Horror" jest prawdopodobnie jednym z najbardziej udanych eksperymentów na scenie metalowej ostatnich lat. Ludzie powinni zrozumieć, że artyści nie będą grać tej samej muzyki przez x lat tylko dlatego, że fani tego chcą. Gusta muzy-

czne się zmieniają razem z nami, a Metallica nie jest już czwórką wkurzonych dwudziestolatków, a raczej czwórką ustatkowanych pięćdziesięciolatków, którzy może na starość postanowili posłuchać sobie trochę Rihanny. Bardzo dobrze tłumaczył to Mike Shinoda z Linkin Park w jednym z wywiadów - on i reszta zespołu musieli coś zmieniać, bo inaczej sami by zwariowali. Bo nie można dobrze robić muzyki, której samemu już się tak bardzo nie lubi.

Nie trzeba wszystkiego od razu lubić

Teraz może słowem zakończenia i powtórzenia, bo chcę zostać dobrze zrozumiany. Jeżeli nie przypada ci do gustu rap, metal, pop, a jedynymi wykonawcami na Twojej playliście są Bajm, The Doors i Beatlesi – okej. Nikt do niczego nie zmusza. Jednak nie czyni cię to lepszym słuchaczem, większym miłośnikiem muzyki, tak samo jak nie czyni to twojego gustu muzycznego lepszym od innych. Spróbuj wsłuchać się w gatunki, których nie lubisz, bbo nietrudno znaleźć tam talent. Może nawet coś przypadnie ci do gustu. A nawet jeśli nie, to błagam - gdy widzisz post o Post Malone albo Cardi B, daj sobie spokój. Nie próbuj edukować ich fanów rockiem z lat 60. "Let people enjoy things". A internet i społeczność muzyczna stanie się lepszym miejscem.

BARTOSZ KACZMAREK – 2 A



Anatomia randki

Niezależnie od tego, czy jesteś romantykiem zakochanym w blasku Księżyca, sceptycznym wobec sensu życia egzystencjalistą czy bezdusznym robotem podkładającym głos dla Google Translate, idea randki nie jest Ci raczej obca. Skąd się jednak w ogóle wzięła? Jak zmieniała się poprzez dziesięciolecia? Czy faktycznie ma sens, czy raczej utrudnia życie? Jaki ma związek z kulturą konkretnych krajów?

“Miłość” na sprzedaż

Choć randkowanie nie wyda się raczej nowoczesnym wynalazkiem ani Tobie, ani mnie, w rzeczywistości towarzyszy ludziom dopiero od niecałego wieku. “Ale jak to?” - mógłbyś wykrzyknąć - “przecież wcześniej też musiano jakoś sobie radzić w poszukiwaniach partnera lub partnerki!”. Oczywiście, miałbyś całkowitą rację, jednak romansowanie w dawnych czasach wyglądało całkiem inaczej.

Pierwszy krok ku “wielkiej miłości” stanowił młodzieniec wypatrujący młodej i pięknej damy, najlepiej z bogatej rodziny. Nie wypadało mu przedstawić się samodzielnie (kto tak w ogóle robi?), więc musiał poprosić o pomoc swatkę, która “przypadkiem” zapraszała do siebie zainteresowanego i przyszła ukochaną, wraz z jej rodziną, jednocześnie. (Mogła też ewentualnie skorzystać z okazji i zapoznać młodych na wydarzeniu takim jak bal czy wizyta w teatrze, ale “fajerwerki” były wtedy nieco mniejsze). Jeżeli rodzice dziewczyny wydawali się zadowoleni z aparycji i charakteru młodego człowieka, mógł on odwiedzić całą wesołą gromadkę już kolejnego dnia, ale przestrzegając określonych zasad. Musiał pojawić się między dziesiątą a czternastą, maksymalnie na pół godziny. Jeżeli ukochana i jej rodzice zwlekali, by go powitać, oznaczało to, że młodzieniec dostał kosza, jak to się zwykło dzisiaj mówić. W przeciwnym wypadku, mógł on odwiedzać swą kochankę częściej (zawsze w obecności dorosłych), a w końcu podyktować swe wszystkie (często bardzo liczne) żądania dotyczące posagu rodzicom i oświadczyć się dziewczynie. Nawet po ślubie młodzi musieli się bardzo pilnować i prawie nigdy nie zostawali sam na sam, ale nic w tym dziwnego - nie chodziło o prawdziwe uczucia, ale raczej o umowę biznesową.

Zacząło się od schadzki...

Jeszcze ponad sto lat temu wychodzono z założenia, że jeśli spotkanie dwójki młodych ludzi (w towarzystwie rodzinnej obstawy, rzecz jasna) nie ma doprowadzić do ślubu, to jest ono całkowicie zbędne. Nie wierzono wtedy w romantyczne gesty

czy większe uczucia, ale jedynie w czysty biznes. Nie wszystkim jednak taki układ się podobał - niektórzy marzyli o wielkim, prawdziwym uczuciu, podczas gdy inni po prostu chcieli poromansować bez żadnych zobowiązań. W ten sposób właśnie narodziły się schadzki - tajemne spotkania dwójki zakochanych, które, jeśli zostałyby wykryte, mogłyby doszczętnie zniszczyć reputację młodej damy i być lekko niewygodne dla zakochanego młodzieńca. Był to swego rodzaju pierwowzór randki, który różnił się od niej jedynie bardzo negatywnym odzewem opinii publicznej. Czasy jednak stawały się coraz bardziej liberalne, a tematy tabu zaczęły powoli zniknąć, aż w pierwszej połowie XX wieku w końcu ukłuł się termin “randka” i choć w oczach starszych ludzi było to zjawisko niezwykle groźne, a wręcz wulgarne, szybko zyskało popularność.

Wszystko zależy od kraju

Chyba nietrudno jest się domyślić, że pierwsze kroki w kierunku adaptacji nowej rozrywki społecznej podjęły Ameryka i Francja, choć w sposób niezwykle różny.

Amerykanie podchodzili do tematu rzeczowo i przyziemnie, dalej wierząc w to, że związek jest jedynie drogą do małżeństwa, jednak cechującą się nieco większą swobodą. Już małe dzieci uczono, że każdemu powinno się dać szansę i być dla potencjalnego partnera niezwykle uprzejmym, choćby nie wydawał się atrakcyjny w żaden sposób. Od najmłodszych lat (od jedenastu do trzynastu) młodzież powinna była mieć pierwszą randkę za sobą, a w wieku lat szesnastu bardzo wiele młodych ludzi stawało się już zamężnych. Dodatkowo powstało tysiąc niepisanych zasad, wobec których każde spotkanie musiało mieć specyficzny harmonogram, obydwie strony musiały uważać, by nie przekroczyć swoich kompetencji (kobiety powinny być uległe, a mężczyźni musieli wiecznie przejmować inicjatywę i odgadywać kolejne życzenia ukochanej), a do romantycznego spotkania wyznaczono konkretne miejsca, o czym nawet nauczano w szkołach za pomocą specjalnych filmów.

We Francji zaś to mężczyźni byli zdani na łaskę czy niełaskę kobiet. Nie wypadało im podjąć pierwszych kroków, dopóki jakaś dziewczyna nie spojrzeła na nich kocim uśmiechem (co było rzadkością), a i wtedy jedynie mogli dać jej swój bilecik z nadzieją, że się z nimi skontaktuje, gdy nabierze na to ochoty. W przeciwieństwie do Amerykanów, Francuzi nie uważali, że powinno się dawać szansę każdemu, ale "pierwszy etap" wyboru potencjalnego partnera odbywał się na długo przed okresem randkowania i wykonanie odsiewu kandydatów należało do zadań kobiety. Panie starały się za wszelką cenę być tajemnicze i pociągające, dzięki czemu randki nabierały specyficznego klimatu, który nierzadko kończył się stosunkiem seksualnym.

A gdzie jest Polska?

Choć polska kultura starała się czerpać z nowinek społecznych, zwyczaj randkowania wkroczył do niej stosunkowo późno i był bardzo potępiany. W czasach bliskich związków z Rosją, młodym ludziom zabraniano spotykania się w celach romantycznych, a za publiczne okazywanie czułości można było zostać ukaranym. Fakt, że w Ameryce to szkoły uczyły dzieci randkowania i bardzo je zachęcały do podjęcia rękawicy już w młodym wieku, w Polsce było nie do pomyslenia! Starsi na każdym kroku podkreślali, że powinna liczyć się głównie szkoła i praca, a zasady społeczne były bardzo sztywne. Pozostałości powyższych sposobów bycia możemy zresztą dostrzec do dziś - Ameryka lubuje się w podsuwaniu nam kolejnych filmów młodzieżowych, w których wszystkie trzynastolatki mają już za sobą dwa poważne związki i jak najbardziej są aktywne seksualnie, we Francji każda śmiała i uprzejma kobieta może zostać uznana za kokietkę i oblegana przez mężczyzn, natomiast w Polsce wiele matek dalej podpowiada swym córkom, by postawiły na skromność i czekały na pierwszy nieśmiały gest ze strony mężczyzny.

Pfff, a co ty możesz o tym wiedzieć?

Choć może się to wydać zaskakujące, wszelkie fakty i ciekawostki zawarte w artykule wcale nie są owocem moich nocnych przemyśleń, ale pochodzą z książki "Anatomia randki", pióra socjologa Piotra Szaroty. Wszystkich, których zainteresowała podana przeze mnie w pigułce wiedza, zachęcam do sięgnięcia potężną krótką i napisaną w bardzo przystępny sposób książeczkę. Pozostałym zaś przysięgam, że nie były to wysane z palca informacje - teoriami spiskowymi zajmijmy się wspólnie innym razem!

EMILIA RYNKIEWICZ – 2 A



Odczarowana

Być może też lubicie powracać do bajek z dzieciństwa. Majówka to czas do tego idealny, szczególnie dlatego, że wtedy bardzo łatwo o znalezienie w telewizji ukochanych kreskówek. Mi się to udało pomiędzy kolejnymi seansami takimi jak „Noce i dnie” czy „Pan Tadeusz”. Dopiero podczas oglądania filmu, który mojej pięcioletniej wersji bardzo się kiedyś podobał, zrozumiałam, jak bardzo się zmieniłam i że nie wszystko jest tak bajeczne jak kiedyś.

Co by się stało, gdyby księżniczka z magicznej krainy została wrzucona przez podstępna macochę przyszłego męża do tajemniczej studni? Pójdźmy o krok dalej – co, jeśli ta studnia okazałaby się bramą do zupełnie innego świata, a byłby nim... Nowy Jork z XXI wieku? Zatem witajcie w „Zaczarowanej” – w filmie Kevina Lima, gdzie cuda raczej się nie zdarzają, a fantazja rodem z baśni zostaje w komiczny sposób zderzona z brutalną rzeczywistością Manhattanu.

Czas na autoironię

Dzieci wykazały się aż w dwóch obszarach. SpołecWszystkie bajki Disneya (do 2007 roku) opowiadające o księżniczkach takich jak Kopciuszek, Śnieżka czy Ariel miały to do siebie, że pow-

tarzały pewien schemat. Jest ona – piękna. Chce od losu „czegoś więcej”. Spotyka więc jego – księcia z bajki. Zakochani, a raczej waleczny wybranek, stawiają czoła siłom zła i chociaż nie znają się za długo, wkrótce biorą ślub.

Czy tak wygląda rzeczywistość...? No właśnie. Podczas gdy inne wytwórnie filmowe, np. DreamWorks w „Shreku” wyśmiewały utarty disneyowski schemat, gigant animacji szedł w zaparte. Pierwsze oznaki zmiany kierunku w pisaniu fabuł pojawiły się jeszcze przed historią o zielonym ogrze, weźmy na przykład „Mulan” czy „Pocahontas”. O nie, nie było to jednak kategorię oderwanie się od schematu. Prawdziwą rewolucję przyniosła właśnie „Zaczarowana”, czyli totalna autoironia w wykonaniu Disneya.



„Jutro rano się pobierzemy!”

Już sam początek wskazuje na ton, w jakim będzie utrzymany film. Historię rozpoczyna animacja typowa dla produkcji z XX wieku, czyli otwierająca się baśniowa księga w jednej z zamkowych komnat. Tradycyjne przedstawienie antagonisty, czyli złej macochy księcia oraz zapoznanie z główną bohaterką – piękną, naiwną Giselle, która marzy o miłosnym pocałunku jak ze snu. Jej towarzyszami są disneyowskie zwierzątka, które potrafią mówić i przychodzą do bohaterki na każde zawołanie. Pojawia się też niezbyt inteligentny książę Edward, który podczas polowania na trola słyszy głos dziewczyny i stwierdza, że musi ją poznać. Kiedy ratuje Giselle z opresji, zaraz po przedstawieniu się oznajmia, że następnego dnia rano wezmą ślub. Na domiar wszystkiego zakochani zaczynają śpiewać w duecie, jednak to w ogóle nie dziwi – bo taka jest disneyowska konwencja.

Po drugiej stronie studni życzeń

Nie myślcie sobie, że cała sprawa nie zainteresuje wrednej macochy Edwarda. Aby utrzymać władzę w baśniowej Andalazji, w dniu ślubu kobieta podstępem wrzuca Giselle do magicznej studni. Stąd przyszła księżniczka dostaje się do... studzienki kanalizacyjnej na Manhattanie. I tu zaczyna się cała zabawa.

Bo w XXI wieku nie ma miejsca na księżniczki. Rzeczywistość zostaje skonfrontowana z mityczną

krainą, głównie dlatego, że w Nowym Jorku trudno spotkać uczciwych ludzi. Dopiero po dłuższym czasie błąkania się po mieście Giselle spotyka Roberta – prawnika, który nie wierzy w spełnianie się marzeń, oraz jego córkę, Morgan. Losy trójki spletają się w komiczny sposób i są jednym z głównych wątków w filmie. Jednocześnie Edward w towarzystwie sługi macochy wyrusza na poszukiwania wybranki serca.

Sukienki z zastonek

Jako pięciolatka postrzegałam „Zaczarowaną” w zupełnie... dziecięcy sposób. Czyli jaki? Przede wszystkim uznawałam wszystkie zachowania Giselle za normalne. Znacznie łatwiej było mi zrozumieć jej nieokrzesaną dobroduszość, prostoliniowość i szczerą, bo tego nauczyły mnie poprzednie bajki Disneya. Szycie sukienek z firanek w mieszkaniu Roberta też nie należało wówczas do specjalnie dziwnych (myślałam nawet, że sama chętnie bym takie robiła z zastonek w domu), tak samo jak picie wody z akwarium czy zachwywanie się rzeźbami w biurach. Zupełnie też nie przeszkadzały mi spontaniczne tańce i śpiewy wyrwane jak z bajki, gdzie wszyscy nagle znają tekst piosenki i choreografię. To cały Nowy Jork w stosunku do Giselle wydawał mi się nieprzyjazny, nieswój i po prostu dziwny. Szczególnie nie rozumiałam zachowania Roberta, który nie wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia i czuje się zobowiązany, by nauczyć księżniczkę, że Manhattan to nie zaczarowana Andalazja.



Księżniczka w Nowym Jorku i szermierz w autobusie

Podczas majówkowego seansu zobaczyłam, jak przez ten czas zmienił się mój punkt widzenia. Tym razem w pełni udało mi się zrozumieć postać Roberta, filmowy głos rozsądku. Zamiast zastanawiać się, dlaczego prawnik jest taki „ponury”, zachodziłam w głowę, jakim cudem Giselle ma w sobie wciąż tyle radości, mimo że Nowy Jork traktuje ją w okrutny sposób. Co więcej, rozumiałam zachowania niektórych mieszkańców Manhattanu. Myślę, że gdyby mój autobus zaatakował gość w stroju ze sztuki Shakespeare’a, na dodatek uzbrojony w szpadę, też bym zadzwoniła po policję. I nie dziwię się, że przez pierwszy akt Robert tłumaczy Morgan,

że Giselle jest chora psychicznie. Dziś nikt nie potraktowałby poważnie ubranej w suknię balową kobiety, która wypytuje banery reklamowe o Andalazję.

Zanim wybije północ

Zupełnie inne spojrzenie na „Zaczarowaną” nie odebrało mi jednak przyjemności z oglądania filmu. W wielu miejscach wybuchalam śmiechem, szczególnie, gdy słyszałam pompatyczną mowę postaci z baśniowej krainy. Scena z piosenką „Skąd wiedzieć ma?” w sposób musicalowy odegrana w Central Parku dalej pozostaje moją ulubioną, podobnie jak złamanie schematu pocałunku miłości, który zdejmie każdą klątwę (ale tylko przed północą!). Przez film przewija się wiele smaczków z disneyowskiej oraz światowej kinematografii.



Oddani fani dostrzegą w „Zaczarowanej” easter eggie z „Kopciuszka”, „Alicji w Krainie Czarów”, „Królowny Śnieżki i siedmiu krasnoludków”, a nawet... „King Konga”!

Happy end

Mimo że w filmie występują znani aktorzy, tacy jak Amy Adams, Thimoty Spall czy Indina Menzel (głos Elsy z „Frozen”), pozostają wierna polskiemu dubbingowi. Niektóre kwestie w ustach rodzimej obsady pozostają dla mnie kultowe, a głosy Artura Żmijewskiego czy Anity Todorczuk-Perchuć zawsze będą kojarzyć mi się z „Zaczarowaną” – filmem, który udowadnia, że nawet w Nowym Jorku każdy może odnaleźć swoje „I żyli długo i szczęśliwie”.

Przez pewną część seansu nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że za bardzo się zmieniałam, aby móc wciąż się bawić podczas oglądania tego typu filmów. Mimo to okazało się, że zachowałam w sobie trochę z pięcioletki i chociaż nie udało mi się wyłączyć racjonalnego, „robertowego” myślenia, dałam się porwać historii. Inny punkt widzenia, mniej baśniowy, nie przeszkadzał mi, ale pozwolił zobaczyć więcej. „Zaczarowana” może i nie jest arcydziełem filmowym, jednak to udana komedia zrywająca z disneyowską konwencją, pełna ironii i humoru. A na majówkę nadała się idealnie.

MAŁGORZATA WIECZORKIEWICZ – 2 A



Trująca słodycz, czyli jak zwieść internet swoim wyglądem

Czyż to nie przeurocze maleństwo? Kuliste, puszyste i wygląda zupełnie jak królik! Lepiej jednak powstrzymać się przed pogłaskaniem, bo “morski króliczek” nie jest tym, za kogo się podaje! Zdemaskujmy więc tego małego oszusta...

Japoński wymysł?

Choć zwierzątko to może wyglądać jak efekt działań w Photoshopie, nie ma powodów do obaw - jest w stu procentach prawdziwe. *Jorunna parva*, bo taka jest właściwa nazwa tego słodziaka, jak najbardziej istnieje i jest niczym innym jak morskim ślimakiem. Choć gatunek ten został po raz pierwszy opisany już w 1938 roku przez Kikutarō Babę, swoją popularność zyskał dopiero w 2015 roku za sprawą japońskiego Twittera.

Ślimak ten zamieszkuje wody zachodniego Oceanu Spokojnego i zachodnią część Oceanu Indyjskiego. Przebywa blisko brzegu - zazwyczaj nie schodzi poniżej 20 m p.p.m.

Jest naprawdę maleńki!

Jego wymiary sięgają pomiędzy 10-27 mm długości i 13-21 mm szerokości.



Widzę..., ale na co patrzę?

To, co przypomina królicze uszy, to tak naprawdę rinofony - receptory pozwalające wykryć związki chemiczne rozpuszczone w wodzie i zmiany w prądzie. Dzięki nim *Jorunna parva* może zlokalizować jedzenie lub partnera. Wyglądająca jak puszysty ogonek lub kwiatek narośli z tyłu ciała to w rzeczywistości otaczające otwór odbytowy skrzelia. "Futerko" ślimaka składa się natomiast z małych brodawek, których przeznaczenie nie jest bliżej nieznane. Morski króliczek zawdzięcza swoją nazwę także białemu ubarwieniu - możliwe jednak są także inne kolory, jak np. żółty, pomarańczowy czy też zielonkawy (choć jego zdjęcia są bardzo rzadkie). W temacie ubarwień istnieje jednak kontrowersja - czy to wciąż ten sam gatunek?

Naprawdę, nie chcesz go pogłaskać

Podobnie jak w przypadku większości zwierząt jaskrawe kolory króliczka pełnią funkcję ostrzegawczą, bowiem jego ciało jest silnie toksyczne. Zawdzięcza to swojej diecie opartej o gąbki. Dzięki temu *Jorunna parva* nie musi martwić się o ataki drapieżników.

Naprawdę, nie chcesz go pogłaskać

Całe swoje niedługie życie, trwające prawdopodobnie maksymalnie rok, *Jorunna parva* spędza na obszarach bogatych w pożywienie i tam, gdzie te zasoby są łatwo dostępne. Dlatego też niektórzy podejrzewają, że *Jorunna parva* jest wielkim głodomorem.

ALICJA KOŹLIK – 2 B



**„POLITECHNIK JUNIOR”
PERIODYK AKADEMICKIEGO LICEUM
OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ**

Redaktor naczelny: Maksymilian Skica

Zastępca red. naczelnego: Małgorzata Wieczorkiewicz.

Redaktorzy: Bartosz Kaczmarek, Alicja Koźlik, Nadine Pfluger, Emilia Rynkiewicz, Maja Węglowska, Daniel Witkowski.

Technicy komputerowi: Michał Jagodziński, Kamil Janowski, Jeremiasz Wieleba.

Opiekun pisma: Wojciech Walczak.